

ADAM WIEDEMANN

Samczyk

ADAM WIEDEMANN

Samczyk

Część I

**** [Ulica Krupnicza]*

Ulica Krupnicza, moja dobra koleżanka z pierwszego roku,
już prawie przestaje wzruszać, już mnie nic nie wciąga
pod dwunastkę, chyba już nie mam ochoty popробować,
czy drzwi się nadal tak ciężko otwierają,
może jedynie na widok skrzynki na listy
zrobiłaby się we mnie jakaś rzewność, ale nie wchodzę,
nie zaglądam tam, odarty z porządnego adresu,
ze schodów, z dzwonka do drzwi.

Aż tu dzisiaj idę, a naprzeciw mnie dziewczynka
lat może siedem, z małym koszykiem pełnym marchewek.
Mijamy się prawie przed moimi drzwiami.
I tak się rodzą te wszystkie bajki.

Kraków, luty 1989

**** (Chcąc wyjechać do Austrii)*

Chcąc wyjechać do Austrii a może i nie chcąc,
wybrałem się pociągiem aż do Jarocina,
ale przespałem Jarocin, wysiadłem cokolwiek dalej,
wschodziło właśnie słońce, siąpił właśnie deszcz.

Jakaś mała miejscowość; łąziłem po pustych torach
w czarnym płaszczu, jak gdybym przynosił tu dżumę.
Lecz nikt mnie nie obserwował, odezwały się właśnie koguty,
a do mnie z Ameryki nadleciał oczywiście Waits.

Tymczasem kobieta jakaś przyszła, usiadła przed stacją,
już od pół wieku pewnie pod ciągłą Bożą obserwacją,
a dla mnie nie mająca nic oprócz tajemnic,
zamknięta z nimi całkiem bezpiecznie w płaszczyku z krempliny,
który komu innemu zapewne powiedziałby wszystko.

Po chwili nadjechał pociąg jadący w przeciwną stronę,
która w sposób oczywisty była dobra i dla mnie, i dla niej.
Za dwie godziny miały się otworzyć wszystkie banki,
lecz my jadąc, wiedliśmy o to zły milczący spór.

*** *(dlaczego już czwarty raz)*

dlaczego już czwarty raz
przechodzę tędy sam
i nie mam pojęcia kto
mógłby tu ze mną iść

a może tędy nikt
nie chodzi i każdy by
mnie wyśmiał gdybym mu
zapropozował tego rodzaju skrót

a dobry rozdokazywany Bóg
zawczasu odziera mnie
z towarzystwa żebym mógł
z tą decyzją sam na sam

być niezachwianie wolnym i
dla żartu powoduje że
lecą nade mną aż
cztery samoloty co

upodabniają człowieka do
chrabąszcza i przywodzą na
myśl jakąś ostateczną katastrofę

Książenice, 16 września 1989

*** *(Wsiadłem)*

Wsiadłem. W przedziale siedział tylko jeden facet
i spał, lecz gdy wkładałem plecak na bagażnik,
obudził się i stopy w brunatnych skarpetach
położył na siedzeniu, które ja zająłem,
żeby się na nim zaraz ułożyć i zasnąć;
teraz nieodwołalnie będzie je tam trzymał
do końca, w każdym razie nie wysiądzie w Kępnie,
zatem mnie pozostaje tylko: naśladować
jego sposób kładzenia się do snu, lub siedzieć
w butach i czuć, czytać „Austerię”. Z przedziału
obok dobiega bełkot jakiegoś wariata.
Dręczy mnie doskonałość całkiem pustego siedzenia,
która tu była, zanim ja tu wsiadłem.

Domanin, 20 maja 1990

*** *(nawet nie tyle myśli)*

nawet nie tyle myśli, co wklęśnięcia (gniazda)
domy schadzek, czy raczej domy nieprzytomnych spojrzeń,
które za drugim razem są już zupełnie ślepe

Bruxelles, 2 października 1990

*** *(Dopiero pod prysznicem)*

Dopiero pod prysznicem w upiornie pustej (zalanej światłem jarzeniówek) wspólnej łazience uzyskałem pewność, że należało ten dzień zakończyć rozmową po francusku z tym chłopakiem kaleką, który swoim zjawieniem się w kuchni zakłócił nam cowieczorne liczenie pieniędzy i przeciąganą w nieskończoność herbatę. Bo tymczasem, to zupełnie bez sensu, skonał tu na moich rękach Naruz Hosnani (a ty, Larry, jak tam, żyjesz jeszcze? i twój jedyny sweter zapinany na zamek błyskawiczny, czyżby leżał już tylko w mojej szafce na stare czasopisma [a ta szafka?!]), a, doprawdy, ta śmierć, po której poszedłem się wykąpać, zmyć z siebie ten deszcz, jeszcze belgijski, wcale nie musiała nastąpić właśnie tutaj, tkwi teraz we mnie zupełnie niepotrzebna: całkiem jak ja, siedzący tutaj teraz, nie porównany z nikim w kalectwie (mojego języka), mój pokój już cały sapie i pojękuje przez sen, i jakie prawdziwe jest teraz właśnie to, co mnie ominęło; gdzieś na progu widoczności ciągle jeszcze zmieniają się światła.

Luxembourg, 3 października 1990

Świeże kwiaty

Igor Strawiński napisał już tę piosenkę o sowie i kotku My wiemy: nic już więcej nie napisze On jednak zamyśla kwartet i symfonię (swoim zwyczajem nie słyszy ich toteż nie istnieją Nawet tam) a tymczasem jest wożony do miejsc gdzie był młody i gdzie napisał (kiedyś to było wszystko i teraz znowu) Jego obojętność porusza wszystkich do łez I właśnie tak samo jest z tymi kwiatami: kupiłem je dla ciebie a teraz nie mam ochoty ci ich dawać Ich śmierć została w Ogrodzie tutaj już tylko doskonałość Więc dlaczego konają pośród ostatnich wypowiedzi

Kraków, 24 października 1989 — 27 października 1990

*** *(nie nawykła mi dusza)*

nie nawykła mi dusza z Szatanem wojować
nie nawykła też z Bogiem nawet i rozmawiać
cóż ja z duszą poradzę gdy mi ciało zlegnie
gdzie ona mnie za rękę ciągnąca pobiegnie
czy jej wygodne nieba rozkosze statyczne
czy też piekła wybierze bole dynamiczne
a może mnie pochłonie iżby mną się stała
a może mnie zostawi na podobieństwo ciała
i będę się unosił świat zwiedzając stary
a ona niewidzialne odwiedzi obszary

i kiedy w czas zmartwychwstania pozbierać się będzie można
ona bez mojej pomocy ciała mojego nie pozna
i kompletnie duchowa zniszczy na podobieństwo płomyka
a ja do końca cielesny nawet nie ujrzę jak znika

— kocham cię moja duszo lecz czy ty mnie kochasz
czy czasem kiedy umrę nie powiesz wynocha
uciekaj ze mnie dziadu coś mnie w życiu drażnił
odpowiedz duszo moja bądźmy raz poważni

— ja duszą tylko jestem nie drugim człowiekiem
nie będę z tobą siedzieć jak żona wiek wiekiem
w szczęśliwości ja spocznę gdy ty spocznesz w grobie
i całkiem nic już ze mnie nie zostanie w tobie

— a jeśli cię powalę jakim wielkim grzechem
jeśli do świnstwa zmuszę swoimi myślami
odpowiedz moja duszo co się stanie z nami
jeśli na Sądzie chuchniesz nieczystym oddechem

— a dalbyś ty mi spokój cóż ja tobie złego
uczyniłam iżeś mnie sobie obrał za ofiarę
Pan Bóg mnie z tobą złączył chyba za jaką karę
a ja i tak nie ciebie kocham tylko Jego

— więc musisz być zbawiona
— w końcu jestem duszą
a ty byś z nieba nie miał żadnej przyjemności
skoro nie masz miłości dla mojej miłości
ani też mojej twoje miłości nie wzruszą

— lecz co ze mną bez ciebie czy sobą zostanę
czy z trupem swoim straszny pojadę karawanem
czy trąba mnie ogłuszy ostatecznym rykiem
czy się stanę borsukiem czy może Chińczykiem

— wróżbitką ja nie jestem zawsze coś się zmienia
śmierć jak mówią podróżą jest albo chorobą
lecz kiedy ci już odpadnie problem mojego zbawienia
ciała też miał nie będziesz będziesz tylko sobą

Sierpień 1991

Drugi

Znowu się zaczął sierpień. W pociągach
przestali się w ogóle pokazywać konduktorzy.
Jadę w pustym wagonie. Z mapy
połączeń kolejowych ktoś wydrapał wszystkie

większe miasta. Polska bez Krakowa,
bez Warszawy, bez Śląska, ta sama co za oknem.
Jest trasa którą jadę: znikąd do Kalisza.
W kieszeni mam już cztery niesprawdzone bilety.

Taki rozmyty świat jak przed nadejściem
czegoś ogromnie, boleśnie wyraźnego.

Gdyby tak chociaż kaseta której słucham przedłużyła się
o jakieś dwie dodatkowe nieistniejące piosenki —
Ale gdzie tam, ten świat jest tak potwornie niewinny,
wszystko się dzieje przypadkiem, kiedy Nikt nie patrzy.

Czternasty

Papież Jan Paweł II dokonuje koronacji
dwóch kopii Matek Boskich na potrzeby Miejsca,
w którym się był urodził — ten to właśnie cud
obie kopie post factum celebrować będą.

Prawdziwe Matki Boskie po okolicznych wsiach
szlachetne współzawodnictwo podejmą z kopiami,
cudów wydatnie przybędzie, Papieży i koron,
zasłynie cała Polska owymi Matkami.

A Matka Boska w niebie już ledwo się trzyma na nogach
pod ciężarem tych koron i srebrnych sukienek,
a jeszcze moja mama woła za mną na schodach:
Matko Boska, tyś znowu nie ubrał skarpetek!!!

Więc choć nie wie za bardzo, na co Jej jeszcze skarpetki,
naciąga je cierpliwie na Swe święte stopy
(bo choć Królowa Polski od sześciuset lat,
z gramatyką wciąż jeszcze ma pewne kłopoty)...

Piętnasty

*Jasiu w Gliwicach, ja w Ostrowie Wielkopolskim
O tej samej godzinie wsiadamy do pociągu.
Zresztą wcale nie wsiadam, wymyślam sobie tylko
To zdanie (jego rytm) z zamięłowania do wszelkich jednoczesności*

Ale tu nagle jakieś szaleństwo. Na wszystkie perony
Powjeżdżały pociągi do albo ze Szczecina,
A także z *ominięciem stacji Szczecin Główny*.
Pani w głośniku jak nakręcona: *Szczecin i Szczecin*.

Nie mogę tego słuchać. Rzykując, że przegapię
Swoją pociąg, zakładam słuchawki, włączam na cały głos walkmana
(Igor jest znowu u mnie Numer Jeden, z kobiet — Yoko),

To naprawdę nic przyjemnego, obserwować, jak w samym środku
Świata, ułożonego misternie z niespełnionych pragnień,
Spełnia się ni stąd ni zowąd jakieś nie wiadomo co, pewnie nic.

Dwudziesty

Oo mój pęcherz! Musiałem sobie przeziębic pęcherz.
I zaraz wystawiony na wszelkie upokorzenia
idę, co chwila w groteskowych skurczach. Gdzie się podziac
z tym moim moczem? Skąd w ludziach tyle nienawiści?

Naukowcy ustalili, że zawartość przewodu
pokarmowego nie jest częścią mojego organizmu,
ale mocza? Nie pamiętam. Dwuznaczne. Bez mojego moczu
ileż byłbym piękniejszy. Ale tu wszędzie ludzie, wszędzie domy.

Nareszcie jakiś wiadukt porośnięty drzewami.
Wdrapuję się na górę. Pusto. Gorące powietrze
nad torami faluje całkiem jak w powieści amerykańskiej,
którą właśnie zacząłem czytać.

Dwudziesty siódmy

Ostatni wtorek sierpnia. Prezydent Lech Wałęsa
Zdecydował się wpuścić na dziedziniec Belwederu
Tłum emerytów wznoszących uwłaczające Prezydentowi okrzyki
Domagających się swoich praw czyli swoich pieniędzy.

Prezydent skierował do zebranych następujące słowa:
„Na dziedzińcu po lewej stronie wyłożona zostanie księga.
Uprzejmie proszę każdego z Państwa o wpisanie do niej
Jednego zdania najlepiej jednej linijki

Ale proszę się starać żeby zmieścić w niej dokładnie to
Z czym każdy z Państwa tu przyszedł. W ten sposób każdy będzie
Mógł się wypowiedzieć. Otrzymany w rezultacie wiersz
Zostanie Państwu głośno w mojej obecności odczytany”.

Dwudziesty ósmy

dla Paszczaka

Ile tragicznych wydarzeń! Wśród niejasnych okoliczności
Stary Carrington¹ uśmiercił Araba Ahmeda.
Kryształ właśnie się dowiedziała, robi mężowi awanturę,
Po czym spada ze schodów i szczęśliwie rodzi córeczkę.

W tę z kolei (na planie metafizycznym) natychmiast wciela się
Przywołana podczas sprzeczki, bo niewątpliwie pokutująca,
Dusza zamordowanego. Na ten mahometański zastrzyk
Słabe ciało niemowlęcia reaguje żółtaczką. Kryształ znowu w spazmach.

Kiedy już jest po wszystkim, przenoszę z kuchni do swojego pokoju
Pewną ilość kompotu, który stopniowo pochłaniam
Na przemian z prozą krytyczną Mariana Stali,

¹Carrington, Blake — bohater serialu *Dynastia*. [przypis edytorski]

W której zawieruszone przypadkiem słowo *wirydarz*
Kojarzy mi się niespodziewanie z czymś bardzo przyjemnym,
Ale dopiero po chwili przypominam sobie konkretnie, z czym.

Trzydziesty

Ząb mi wyrwali. Czytam co popadnie
i biorę czopki na bólu wygnanie;
(z za ściany ognia rozległ się śpiew...), na co
we mnie: ZARĄBAC te śpiewaczki w ścianie...

Wcale nie z bólu. Ból właśnie przechodzi,
zresztą dość śmieszny wśród ze świata wieści
(zresztą największy w życiu). Zresztą chociaż
ja go nie czuję, wiem, że wciąż się gnieździ

w śliniankach, w dziąśle. Niewinne narządy
tak udręczyłem z potrzeby porządku
w ustach... O owce moje, zęby moje!
Już między nami nie to, co z początku...

Cóż o nich wiedzieć, jak im mogę współczuć,
kiedyż się złączyć z nimi — chyba w zgonie?
Fiolet wieczoru wtargnął z za firanek,
już żadną lampą go stąd nie wygonię...

Część II

*** (nie śmiej się ze mnie)

do F.

nie śmiej się ze mnie. gdzie się kończy świat
tam się zaczyna Nowe Życie. nikt
nie ufa już śmierci. nikomu już
nie ma potrzeby ufać. to co mówimy
jest już bardzo stare. Nowe Życie
też już coraz starsze. za każdym razem
lepiej się kończy

Kraków, maj 1991

*** (Uwaga!)

Uwaga! Już za dziesięć pierwsza (a więc jednak przed)
zdecydowałem się zejść na dół, z pustymi rękami,
niezbyt pewny, czy robię dobrze, niezbyt pewny,
co właściwie robię. Więc kiedy tam zajrzałem
i było zupełnie ciemno, zacząłem natychmiast
(żeby mnie nie wciągnęło) udawać że być może
jestem kimś innym i chodzi mi o coś zupełnie

innego; przed sobą samym, bo znajome głosy
wciąż jeszcze należały do nieznanomych oczu
i mogłem nawet udawać, że mnie wcale nie ma.
Nie ma mnie, idę żółtym korytarzem, tej chwili
nie ma. UWAGA! BÓG CIĘ KOCHA. Zwracam uwagę.
Nie ma mnie. Choćbyś nie wiem co robił, i tak mnie będzie
zawsze kochał bardziej. To nie ja mówię; słucham tego
ale już po raz drugi, nie wiem po co to powtarzam
w myśli, sam sobie (po co w ogóle te rozmowy w łóżku?);
czy wszystko co kocham musi być zaraz Bogiem? Może
po tym właśnie daje się to poznać. Winda posłusznie
podnosi mnie na trzecie piętro, i za osiem pierwsza
już jestem z powrotem i z powrotem jestem.

Kraków, 9 listopada 1991

*** *(Na ławce leży gazeta)*

Na ławce leży gazeta Z pewnością jest mokra
Jest mokra Znowu sport Ciemno Z trudem
odczytuję kolejne wyrazy Wyrazy Słowa
Czyjes słowa których nikt już nie będzie chciał czytać
Zmęczyło się serce śpiewa chora śmiertelnie Umarła
Zmęczyło się Przystaje na rozwiązania
niegodne Serca Czyjes serce Niedługo będzie
podobnie mokre Wstrętne A ja pochylony nad nim
zaczytany Chociaż to już biały dzień
i przechodnie przypatrują mi się ze śmiechem

Kraków, 7 stycznia 1992

*** *(Rafał miał rację)*

Rafał miał rację: telefony na Podgórzu są do niczego
i świat się znowu skurczył: jest teraz garstką rodzynek,
z których wybieram najlepsze sztuki. I czy to takie pewne,
że nastąpi coś więcej? Czy to w ogóle możliwe?
Niczego nie może być więcej, niż właśnie jest. Ta chwila,
która mnie się wydaje co najwyżej zapowiedzią
Czegoś, komu innemu starczyć musi za Wszystko.
I być może już żaden telefon nie da się oszukać,
nigdy, tyle że nie chce się wierzyć.

Kraków, 23 marca 1992

*** *[— Już pan nie żyje]*

— Już pan nie żyje — powiedział. — Już pan nie żyje,
panie Wiedemann. — Czekał na moją reakcję. Przyjąłem to
w milczeniu. — Gdybym ja tu nie siedział, już by się panu
ktoś wpakował w drzwi. I po panu. — Przyznałem mu rację
i sobie pomyślałem, no więc dobrze, nie żyję, trzeba to
wykorzystać najlepiej jak się da, od tej chwili już będę

jak ci anieli w niebie, bez żadnych obciążeń, bez skazy,
nie pozwolę się więcej prowokować światu, świat cały
mając do dyspozycji. Tylko że chore ścięgno wciąż dawało
o sobie znać, a z torby nie znikła chyba niewykorzystana
karta magnetyczna, którą będzie trzeba zanieść gdzieś
na ulicę Librowszczyzna, żeby chamy oddali forszę (o tak,
lepiej żeby nie znikła): nie umarłem sam. I zaraz się wpier-
doliłem na skrzyżowanie przy żółtym świetle. Ale co tam,
dzisiaj mogę umierać bez przerwy, wielka mi rzecz.

Kraków, 12 czerwca 1992

Pożegnania

Przedwczoraj po śniadaniu, na ziemi niemieckiej,
postanowiłem się ogolić, wyjąłem z plecaka maszynkę
i mydło, będące aktualnie kością niezgody między
mną i Beatą Zużewicz, i ręcznik,

i poszedłem w to miejsce, gdzie za drobną sumę
można było zakupić 10 rodzajów prezerwatyw,
a starzy niemieccy generałowie odlewali się równocześnie
jak na komendę, w lustrze zobaczyłem nareszcie

szramę na swoim czole, dawno już przecierpianą,
zjąłem koszulę, przez chwilę przyglądałem się
jej brudnemu kołnierzykowi, zostałem w podkoszulku.

Ogolony, wróciłem do stolika; tam przy resztkę kawy
wymieniliśmy z Beatą Zużewicz jeszcze kilka złośliwości,
zresztą coraz drobniejszych, wreszcie wyszliśmy na stopa,

długo nas nikt nie zabierał, aż w końcu zauważyłem,
że nie mam na sobie koszuli, nie było jej też w plecaku,
wróciłem do tego baru, w łazience też jej nie było;
— Jemand mußte mitnehmen² — powiedziała pani bufetowa.

Wróciłem z niczym, a wtedy czymś tkliwie niezapomnianym
wydał mi się ten ostatni rzut oka na brudny kołnierzyk.
Więc chyba po to się znamy, żeby się kiedyś pożegnać:
przypadkiem i od niechcienia i nie na zawsze, a jednak.

poświęcone pamięci Kazumiego Yonekawy

Kluczbork, 30 czerwca 1992

I love noises

od kominów Muzeum Narodowego odbija się
światło zachodzącego słońca chmury płyną
po niebie płyną na południe czerwone pręgi
na kominach zapalają się i gasną zapalają się
i gasną coraz szybciej bo chmury płyną
coraz szybciej a słońca coraz mniej więc z coraz

²Jemand mußte mitnehmen (niem.) — ktoś musiał zabrać. [przypis edytorski]

większą uwagę muszę się wpatrywać żeby cokolwiek
dostrzec z tej sygnalizacji może bez znaczenia
lecz jakże tajemnej aż w końcu to co mówi
w radiu nieżyjący od niedawna (choć trudno
to sobie wyobrazić) (jak również to że naprawdę
żył) wieczny staruch John Cage staje się powoli
wciąż bardzo cennym ale tylko szumem

Kraków, 6 września 1992

zbyt niska jakość umysłu żeby po- wiedzieć prawdę

zbyt niska jakość umysłu żeby powiedzieć prawdę³
bezruch, nie ma się o co zaczepić, żaden powiew
nie poruszy tych gałęzi, żadna twarz nie pokaże się
w tych oknach, czasem ptak przeleci ale i tak bezruch,
coś ciężkiego w żołądku i jeszcze to co położyło się
koło mnie w czarnej kurtce skórzanej w czarnych
butach doprawdy nie wiem co z tym zrobić ale nie da się
tak całkiem nic i znowu mnie nie zrozumiecie
ale znów się czuję całkiem zdruzgotany a dokoła
zupełny bezruch żadnej nadziei na zmianę. jeśli
światło to tylko dlatego że ktoś je zapomniał wyłączyć
i niebawem to zrobi. słońce już weszło i nie wie
co dalej. śliski pancierz. robactwo które jest we mnie.
buty które wstydzą się śmierdzieć. paznokcie schowane
w jakich ciemnych czeluściach. może i zło ale tak naprawdę
to żadne zło. dość żeby nie móc zasnąć nie dość żeby
powiedzieć coś przezwyciężyć ten ponury nastrój
ale jak długo można tak leżeć (właśnie: leżeć)
i prosić (kogo? co?) o jakiś nagły niesamowity
napływ kłamstwa które przecież nawet w okolicznościach
wiecznych byłoby zupełnie nieprawdopodobne.

Kraków, 22 listopada 1992

Wiersz

po nieprzespanej nocy po prostu myśli się wierszem
kiedy wsiadam na rower w wyrazistym świetle poranka
wydaje mi się że gdybym tak cały dzień jeździł
to nawet i przed sennością udałoby się zbiec

dosłownie jak na skrzydłach nie widzę tych wszystkich znaków
choć reaguję na nie co też mnie zachwyca
lecz raptem cała lekkość koncentruje się w kieszeni spodni
i uderza jak strzała z mózgu prosto w pierś

mój problem jest dość skomplikowany: mam dwa klucze
duży i mały od domu i od roweru

³*zbyt niska jakość umysłu żeby powiedzieć prawdę* — w wersji drukowanej pierwszy wers jest wytuszczony i stanowi jednocześnie tytuł. [przypis edytorski]

oba zostały w pokoju Jarek już wyszedł do szkoły
i swoim kluczem je tam zamknął więc

nie mam już po co wracać ani dokąd
roweru nigdzie nie zostawię bo mi go ukradną
w związku z czym odpadają czytelnie i sklepy z płytami
będę jechał i jechał aż zapadnę w sen

Kraków, grudzień 1992

Transmisja

ja tutaj a tam tristan konający leży
izoldy wyczekuje no i się doczeka
potem umrze i dobrze ile by to w końcu
miało trwać i tak przecież przedtem będą wyc z rozkoszy

ja sam oni we dwoje chwytliwymi gardłami
tak się czepiają tych swoich zwodniczych kadencji
że śmierć gdyby istniała już dawno musiałaby zgłupieć

jest w tym pewna nadzieja w tym przeciągłym śpiewie
myślę tracąc szacunek do zbyt krótkich wierszy

Kraków, 24 lipca 1993

**** [Tyle było śniegu]*

Tyle było śniegu dzieci tyle radości miały
a teraz w ziemię wsiąknął po trochu śnieg cały
Dzisiaj jest właśnie niedziela dzieci pójdą do kościoła
właśnie po takiej ziemi jaka się Panu Bogu podoba

Kopiec J. Piłsudskiego czeka aż ktoś go odnowi
cóż z tego skoro sam Pan Bóg znęca się nad nim złośliwie
Ja tam byłem raz jeden nic nie mam przeciwko Kopcowi
lecz Pan Bóg wciąż musi tam siedzieć więc wcale Mu się nie dziwię

Pan Bóg nie może wybierać słońca albo cienia
ogłada po sto razy najgłupsze przedstawienia
wącha wszystkie perfumy wdycha wszystkie smrody
zażerając się tortem cierpi zgony i porody

Trudno się Panu Bogu arcydziełem wzruszyć
gdy jednocześnie widzi wszystkie brudne uszy
Wszechmocny — a nic nie poradzi na koszmar Wszechobecności
nie miejmy Mu więc za złe tych paru nieuprzejmości

Część III

Jabłko

Zrobiło się zimno Ciepłą kurtkę wyciągnąć trza z szafy
Ciepłą miłością otulić pożądanie drżące
o swoją autonomię Ciepłym tłustym sosem
napelnić pusty kościół ciała Ciepłym Brahmssem uszy

Ostry szron gdzie nie spojrzeć Ale z ciałem w puchu
z miłością w sercu i nawet z potrzebą
Boga w drodze wyjątku przemienioną w Boga
można już iść i łapać miasto na zimnym uczynku

Teraz siedzę w ciemności otoczony ludźmi
klekotem wierszy murem Nagle widzę
jabłko pozostawione (w szafie) w kieszeni jesiennego płaszcza
: co zrobić żeby pamiętać Żeby tam nie zgniło

Kraków, 19 stycznia 1994

*** *[wszyscy mówią]*

wszyscy mówią
że im się nie chce
mnie też się teraz nie chce
mówię sobie
mówię Jarkowi
chodzę siadam

gdzieś daleko
leje
jest lato
wolę to
skrzypce bzyczą
leżymy na pryczy
brzydzisz się mną
we śnie
teraz już
nie pamiętasz

deszcz kapie
więc to nie trzmielce
tam brzęczą
prąd się przeciska
drutami
wirują szprychy
świata

przyjechały do domu
w domu ciemno
na parapecie zdechłe osy
szeleszczą

już mogę iść spać
może jeszcze jeden wers
albo nawet dwa
:ten co umarł
nic już nie napisze

pisane 10 lutego 1994
do muzyki „Preludiów i fugi” Witolda Lutosławskiego

Wiersz Johna Cage’a, przysniony

Robimy się coraz paskudniejsi. Krzyż, na którym zwykle
wieszałeś swój sweter, teraz w centrum uwagi. Owinął się właśnie
wokół tego, co skrywa szary albo czarny
i śliski materiał twoich *myśli* (?). Z jaką wielką ochotą
przyłożyłbyś to teraz do tych paru martwych, w miarę twardych pojęć,
którymi wyśpiewuje swoje opustoszenie
szary lub brudny albo tylko mokry
łabędź.

marzec 1994

Pliszka

Miłoszowi Łuczyńskiemu

Odkąd nastały lekcje, zrobiło się lepiej:
z okna tego pokoju jest widok na rzekę:
siedzę na parapecie, myślę po angielsku,
w moich zmrużonych rzęsach trzęsie się pudło zmierzchu.

Popiół od papierosa turla się po dachówkach:
świat się stopniowo robi gładki jak pocztówka
i przestaje wystarczać, choćby był nie wiem jak ładny:
spójrzmy więc, co dopisał z tyłu Ivan Blatny⁴.

Czynność w miarę wykwinna: siedzieć tu sobie i czytać
te strofki: tak misternie niedopasowane
jak ubarwienie pliszki: co nad Sanem
i tutaj — jednocześnie (?) wśród zieleni zgrzyta.

Janowice, 15 kwietnia 1994

Język

Tak, bardzo lubię trzymać stopy na maszynie do pisania.
Nieważne jak to robię, nie chce mi się wam teraz wyjaśniać;
miękkie dotyk tych wszystkich małych klawiszy koi
mój zawieszony na drugim końcu ciała umysł — coś jak stukot

kołowrotka, który przywracał jaki taki porządek w mózgu
— fikcyjnej zresztą — Małgorzaty. No tak, mogę być tylko

⁴*Ivan Blatny* (1919-1990) — czeski poeta. [przypis edytorski]

Faustem, ale to może później. Więc ty nogami piszesz te swoje wiersze? Tak, piszę je nogami. Piszę je

dupą. Moja dupa to wielka artystka, jak mawiała pewna parlamentarzystka. Moja śledziona w brzuchu uwięziona. Od samego rana jestem niewyspana. Jak dawno nie napisałem nic tym językiem. Nic w niczyich ustach.

Kraków, 28 kwietnia 1994

Sestina (IV)

... tylko więźniowie

(Szyborska)

przybyłem tu lecz nie znalazłem spodziewanej czystości
wiadomo autobusy dworcowe ubikacje jakie to wywołuje pragnienia
cały świat nakierowuje się na to jedno dla czego zostawia się wszystko
inne nawet gdy podróż sama zda się jedynym celem podróży
cóż dorówna czystości jaką promienieje przyszłość
zbrukana jeno śmiercią niechybną? oczywiście meble

w domu moich rodziców zwykle zresztą meble
nie służące jednak niczemu prócz czystości
na które starczy spojrzeć by zobaczyć przyszłość
idealną wyrastającą ponad wszelkie pragnienia
jak nieistnienie jak cisza morska pośrodku podróży
stałość najdosłowniejsza chociaż mimo wszystko

podlegała upływowi czasu gdyż jak wszystko
powleka się mgłą niepamięci tak meble
kurząc się uczestniczą w naszej ziemskiej podróży
niezdolne samodzielnie utrzymać się w czystości
lecz przy odrobinie starania zdolne zaprezentować ją w pełni toteż pragnienia
czystości wiecznej mają dzięki nim zapewnioną przyszłość

niczym głodna kocica osacza nas przyszłość
ziewając pustką gdy terazniejszość daje nam absolutnie wszystko
my jednak zastraszeni wciąż swoje pragnienia
ustawiamy w przyszłości niczym używane meble
w nowiutkim mieszkaniu niezdolni zresztą niczym zbrukać jej czystości
tak jak nie da się brudu uniknąć w podróży

oto więc powróciwszy z dalekiej podróży
mogłem jak stare portki zrzucić z siebie przyszłość
znalazłszy się w krystalicznych objęciach czystości
i jak w błysku iluminacji ujrzeć wszystko
odbite w politurze którą lśniły meble
tłumiąc we mnie potrzebę wszelkiego pragnienia

tymczasem zatęskniłem do czystości swojego pragnienia
które kombinezonem ochronnym było mi w podróży
a teraz opadło ze mnie na smutne skonsternowane meble
podczas gdy ja zacząłem obmyślać nową podróż nową przyszłość
znów wierząc że pragnienie jest trutką na wszystko
co jak wszy z brudu łęgnie się z nazbyt pielęgnowanej czystości

i choć brudna jest przyszłość wszelakiej czystości
czyste staje się wszystko pod szcnotką pragnienia
zrymowania w tym wersie mebli i podróży

Grabów, 22 lipca 1994

Małość

kaczka się tapla rower się telepie
tężeje piach
trzęsą się meble w rozgrzanej przyczepie
cień się powiększa na trawie przy sklepie
grążąc dzieciaki pogrążone w grach

kręcą się tryby na moim przegubie
przy budach psy
gdy kocim wzrokiem łapię wciąż i gubię
ptaki niezgrane jak na wiecznej próbie
*Vingt regards sur L'Enfant Jesus*⁵

wdzięczą się chwile choć się czai trwanie
i je polyka jak żarłoczny kos
a one krwawią jak maliny w dzbanie
trup Oliviera pływa po Sekwanie
i śpiewa na cały głos:

*nie darmo miłość rodzi się skrzydlata
a w sklepach goły pokutuje drób
bo to dla trupa jedyna zapłata
zwłaszcza gdy sądził że traci pół świata
z powodu małych stóp*

na dachach kruche złocą się anteny
nad topolami polatuje puch
a co tam dalej już się nie dowiemy
gdy nie chcąc wierzyć że się rozstaniemy
maleje duch

wrzesień 1994

Wiersz interwencyjny

znowu jest wojna znowu są wiersze o wojnie i nawet
śni mi się wojna więc prawie już wiem jak to jest
zginęły mi nożyczki ten cholera miłoś
otwierał wczoraj wino zawsze tak jest wystarczy
moment mojej nieuwagi i teraz nie ma ich w żadnym
z pięciu czy sześciu miejsc gdzie zazwyczaj leżały
zapalam papierosa robię tyle rakotwórczych rzeczy
chłopcy śpiewają *dona nobis pacem*⁶ za chwilę
zacznę chyba zaciekle obgryzać paznokcie

Kraków, 26 listopada 1994

⁵*Vingt regards sur L'Enfant Jesus* (fr.) — *Dwadzieścia spojrzeń na Dzieciątko Jezus*, cykl utworów fr. kompozytora Oliviera Messiaena. [przypis edytorski]

⁶*dona nobis pacem* (łac.) — obdarz nas pokojem. [przypis edytorski]

pozytyw z Przeczna

o słodka ważność
niektórych cierpkich nieszczęść
słodka bezpłatność i słodka
transakcyjność którą
gorszymy się słodząc
niecierpliwie gorycz

Kraków, 27 października 1994

Część IV

oceany nareszcie

w WORECZKU z piernikami samotny biały wafel
wygląda jak etykieta choć nie o piernikach
o sobie tylko mówi i ja też nie o nich
i nawet nie o sobie *oceany mają*

SZCZĘŚCIE zjechało po paznokciu w dół i będę musiał
uciąć je albo hodować nie wiadomo już po co
(martwe) (i niewykorzystane) (i nawet
dość niewygodne) *nawet oceany*

wy DZIECI rozczochrane wy smoki ROZPRUTE
macie nareszcie czegoście szukały
suche jak pieprz będziecie i trwalsze od skały
oceany otwarte i nieogarnione

I TO MA BYĆ DESZCZ?

I TO MA BYĆ DESZCZ? (woła życie) Kto w ogóle wymyślił
ten miesiąc: marzec. *Brak ci jeszcze czego?*
Zofia Nałkowska od rana się martwi
oswoje drugie ucho (pierwsze już się nie liczy).

Jeszcze chwila i nic. Nic mi już nie trzeba.
Trumien kokonik. Chociaż (spoglądam przez Krysię)
skoro mamy wyglądać jak te *gałki z chleba*
(co to właściwie są gałki?), może daj nam dzisiaj.

Kraków, 23–24–25 marca 1995

*** [Coś w zębach]

Coś w zębach. Twarde. Wypluć, czy rozgryźć? Rozgryzam.
I? Oplaciło się. Pieprz, chyba z kielbasy.
Leciutka rozkosz, ogieniek błędzący chwilę po języku
(wierszyk).

Ostrów Wlkp., 28 lutego 1995

Dobre maniery

Jesteśmy wszyscy zbyt uprzejmi
Gdybyśmy
byli mniej mniej byśmy się krzywdzili
Wciąż tylko mniej i mniej Dlaczego cię tak mało?
Coś ci przecież zawdzięczam To moje
niedopatrzenie

Wyglupiam się (za dużo
gości na tej imprezie)
Już się nie mogę obudzić To już przeszłość
Przeźroczysta Spójrz na nią Czy mnie widzisz?
Siedzę pod stołem i słucham Pod tapczanem
kałuża atramentu Spójrz: jestem błękitny

Nie ma kogo przeproszać nie ma czego pamiętać
nie ma na kogo patrzeć Ma się zaraz dreszcze
Żyjemy Nie da się ukryć
Ktoś był tak uprzejmy

Kraków, 21 kwietnia 1995

Ktoś mówi do mnie

Marcinowi Świetlickiemu

Umarłam w pierwszym roku denominacji
nigdy się nie nauczyłam tych nowych pieniędzy
Zresztą po co Wszystko mi kupowali
Miałam taką ambicję

Teraz już mi niczego nie wypada się uczyć
mam wszystko elegancko i chyba za darmo
wiem czyj włos mi się wplątał wtedy do zegarka
Wiem i nie wiem co zrobić z tą wiedzą

Lubię sięć sobie w kuchni zwłaszcza nocą
mogłabym ugotować różne smakołyki
a jednak wolę siedzieć nie chce mi się wstawać

teraz kiedy nie muszę czekać już na lepsze czasy
nie przeszkadza mi czuć się jak gdybym czekała
Kiedyś przyjdziesz i wstanę ale razem z tobą

Kraków, 3 maja 1995

Venus pobudzona przez Tycjana

*dla Jarka Górnickiego
i Pawła Borowca*

i gdzie ta toaletka, przy której siadywałam
(mów dalej, opowiadaj) pamiętasz?

mnie tam wtedy nie było, rzucali kamieniami
(skąd brali tyle kamieni?) piliśmy tylko wino

ja w samym środku ziemi, ja w płaszczu Kosmosu
kropla potu na skórze, obecność
nie do zastąpienia, nie do starcia
ja rozumiem, ja byłem, dwa przystanki dalej

Kraków, 19 lipca 1995

Matz żalobny

to? chwasty? (skąd wiedziałaś? nie było ich rok temu?)
to wygląda jak las, monstrualnie zmniejszony,
ale nie stawia oporu, grube pnie, puste w środku,
jeden but mam już pełen ziemi, tej ziemi

z cmentarza, *pewnie już wrosły* (co by było
gdyby pod twoją skórą nie było kości gdyby
pod twoją kurtką był tylko sam szkielet gdybym teraz
[wtedy] rozmawiał zupełnie z kim innym? nic) *w babcie*

Kraków, 18 października 1995

Sonet

dla Marty Wojdak

nawet król, dajmy na to, nie wie co nas czeka
(ślepy jest ten co włada, bo ciemnością włada)
więc skąd ja miałbym wiedzieć, może mam halucynacje,
dziś, na przykład, słyszałem jakieś bulgotanie
przez okno, potem łomot na korytarzu, smród
spalonego mleka, teraz znów ten chopin,
chciał błyszczeć no to błyszczy, starczy chcieć i jest.

zapach pieczonych kurcząt, dociera aż do sracza,
udka, skrzydelka, piersi, wszystko oddzielnie, skwierczy
tam na patelni, łączy się w zapachu, zapach
to taki kurczak, który wreszcie umie latać.

pozbywam się zapachu (może mam halucynacje),
aż wreszcie kiedyś stwierdzę, zrośnięty z nim na stałe,
że przecież, choć niejasno, wszystko to wiedziałem.

Kraków, październik-listopad 1995

Sądząc z rozmiarów

gdy coraz więcej świetlnych tablic informuje
o obiektywnych zmianach robisz się równie szczery
jak one (jak można tak mało cierpieć?) gdy
czas w którym żyjemy wydał się przez moment
kawałkiem mięsa w zupie (jak można nie chcieć
skosztować?) gdy znów ktoś jedzie pociągiem

z tobą w głowie a ty w niej jak robak (jak można
tak mało kochać?) pamiętaj że w następnym błysku
zobaczysz tylko niebo i paznokcie w zlewie

Kraków, listopad-grudzień 1995

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wiedemann-samczyk>

Tekst opracowany na podstawie: Adam Wiedemann, Samczyk, Obserwator, Poznań 1996.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Okładka na podstawie: Jens Mayer@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5244-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.